

Adam Wiaryga-Minteski.

# JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

10

Ostatnie słowa wyrwały się pani Dowgirdowej prawie mimowolnie. Gorące, tajemne życzenie samo wybiegło jej nieostrożnie na usta.

Tadeusz otworzył szeroko oczy:

— A cóż ta smarkatka Dzieglewska ma tutaj do roboty? Co ona mnie obchodzi?...

— Czy i to nieobchodzi cię, że ta zacna dziewczyna stara mi się uprzyjemnić życie, i jest dla mnie troskliwą niby córką?.. — zapytała matka.

Legionista z goryczą zmieszał się nieco.

— Jestem jej bardzo, bardzo wdzięczny... Cenię dobroć panny Jani, ale...

Urwał, nie kończąc swej myśli. Pani Dowgirdowa nie dopytywała go się, co to za „ale...“ Wiedziała.

Zapanowała cisza — przykra, męcząca. Tadeusz nerwowym krokiem chodził po pokoju i palił papierosa, za papierosem. Pani Dowgirdowa siedziała bez słowa, kilka razy westchnęła ciężko. A każde to westchnienie było dla Tadeusza, jak pchnięcie nożem w serce.

Matka przerwała wreszcie pierwsza milczenie. Łagodnie, smutnie przemówiła:

— Tadziu, chodź tutaj, usiądź koło mnie...

Usiadł natychmiast i wyczekująco, z błyskiem nadziei spojrzął jej w oczy.

— Moje dziecko, o jedno tylko proszę cię... Wystaw się na próbę... I nie widuj się z nią teraz... Zrób to dla mnie...

— Nie mogę matuchno, przyrzec tego, bo nie dotrzymałbym... I pocóż ta próba?.. Toż przeszło dwa lata byliśmy oboje wystawieni na próbę...

— Więc nie spełnisz mojej prośby?.. — zapytała już ostrzej.

— Nie mogę... naprawdę nie mogę...

Umilkli znowu. Siedzieli tuż przy sobie, — nic nie mówiąc i każde z osobna przeżywając gorzkie myśli... Roztrącenie, pokłócenie duchem...

— — — — —  
Powracającej do domu Rózi otworzył drzwi Poldek. Czy gimnazjalisty błyszczały jak dwa płomyki.

Chłopak wspiał się na palcach do ucha wyższej od niego wzrosł siostry:

— Rózia, wiesz ty co — szepnął tajemniczo — ja podsłuchałem, co Mela mówiła z rodzicami... Ty masz wyjść za mąż za jej szwagra, za Leona Klugfedera.

— Nigdy!.. — krzyknęła Rózia. Pierś dziewczyny zafalowała gwałtownie.

— No ja myślę — odparł Poldek. — Jąbym go także nie chciał... On zupełnie nie jest podobnym do Kmicica.

## Rozdział IV.

### Don Juan nieśmiertelny.

Rózia szybko zbiegła po schodach, jakby pragnąc co prędzej wydostać się na ulicę.

Z za woalki spoglądała jej oczy smutne, zapłakane. Teraz miały wyraz przygnębienia.

Goldbaumówna spieszyła do Borowickich, rodziców swej serdecznej przyjaciółki. Uciekała do nich zawsze, kiedy jej w domu już nadto było ciężko, duszno, nieznośnie. Tam mogła odetchnąć zupełnie inną atmosferą, zwierzyć się, uzalić Wandzi, pogwarzyć z Borowicką, zapytać ją czasem o radę, z mężem jej porozmawiać poważnie, skorzystać z trafnych uwag i głębokich poglądów profesora.

To była jej ostoja w ciągłej głuchej walce, bezustannej rozterce z własnym najbliższym otoczeniem.

Dzisiaj było znowu Rózi bardzo źle. Przeżyła jedną z tych scen, które coraz bardziej pogłębiały przepaść pomiędzy nią a jej rodziną.

Tadka zobaczyć miała dopiero jutro, bo wyjechał z matką na dwa dni do krewnych. Rózia domyśliła się, iż pani Dowgirdowa przedsięwzięła tę wycieczkę li tylko dlatego, by go oderwać od niej...

Niejasne obawy, tęsknota za Tadkiem, żal do jego matki, nękały biedną dziewczynę. Chciała

ulżyć trochę sercu zobaczyć twarze mile, dobre, przyjacielskie i dlatego szła do Borowickich.

Przyjęła ją sama profesorowa. Była to kobieta niestara jeszcze i bardzo przystojna o cygańskim typie, inteligentnej twarzy; żywe, czarne oczy patrzyły bystro, bujne włosy przetkane były gdzieś srebrenymi nitkami.

— Dzień dobry, całuję rączki pani — witała Borowicką Rózia — czy zastałam Wandzię?

— Nie, niema jej w domu... Poszła na lekcję. Nawet świątecznego tygodnia nie ma wolnego. Musi niesfety uczyć i w takich domach, gdzie tego nie chcą uwzględnić...

Rózia odgadła od razu, jakie to „takie domy“ profesorowa ma na myśli i zmieszała się i zaczerwieniła tak, jakby ona była winną temu, że Wandzia nie może odpocząć należycie.

Zdawało się jej przytem, że pani Borowicka rzuciła na nią jakieś niechętnie spojrzenie. Dawniej nie bywało tego nigdy. Matka Wandzi lubiła bardzo przyjaciółkę córki, współczuła jej, doradzała a czasem dopomagała nawet czynną interwencją.

Ona to zdołała wpłynąć na Goldbauma, że pozwolił Rózi skończyć liceum, pożyczała Rózi książek, zabierała nieraz pod swą opiekę do teatru lub na odczyt.

Od czasu jednak, gdy Goldbaum na lichwiarskim handlu wojennym zaczął robić w przyspieszonym tempie majątek, pani Borowicka zmieniła się nieco w stosunku do jego córki.

Może i jej, jak pani Dowgirdowej przychodziło nie kiedy przez myśl, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni“, może też powodowała nią mimowolna zazdrośna niechęć.

Borowicka miała naturę nawskroś uczciwą i napewno nie wyciągnęłaby nigdy ręki po jakiś brudny zysk... Przez sen nawet nie zamarzyło się jej, aby ona czy jej mąż mogli znaleźć się w rzędzie hyjen wojennych i zgarnąć pieniądze, do których przylgnęła krzywda i hańba, gromadzić miliony, które czuć krwią ludzką...

Ale braki, niedostatek, wytworzone przez warunki wojny i przez tych właśnie, co nad pobożowskimi żerują jak kruki, nękały ją, męczyły, podgryzały jej siły fizyczne i duchowe.

Profesorowa Borowicka była kobietą bardzo inteligentną i wykształconą. Interesowała się żywo pracą naukową swego męża i pilnie śledziła rozwój umysłowy dzieci. Sama czytała dużo i kształciła się nieustannie.

Miała też w wysokim stopniu rozwinięty instynkt społeczny. Złośliwi pomawiali ją nawet, że nazbyt dużo czasu poświęca książkom, odczytom, zebraniom, stowarzyszeniom, a zaniedbuje dzieci i gospodarstwo.

Była to jednak wierutna obmowa plotkarskich kumoszek i płytko myślących mężczyzn. Ani mąż ani dzieci pani Borowickiej, nie mieli powodu uskarżać się... Umiała ona godzić gospodarskie i rodzinne obowiązki z wymaganiami swego ruchliwego umysłu.

Starła się tylko, aby gospodarstwo domowe możliwie na nowożytny sposób uprościć. W mieszkaniu jej było jak najmniej wyścielonych mebli, dywanów i portier, które trzeba nieustannie trzepać. Na półkach w kuchni nie świeciły żadne błyszczące jak lustro, rondle, które trzeba czyścić i czyścić... Na stolikach i etażerkach nie było wcale niepotrzebnych drobiażdżków, których jedyny cel i zadanie stanowi to, że musi się je codziennie obkurzać. Nie lubiła też smarzyć konfitur ani wypiekać przeróżnych ciasteczek a „wielkie pranie“ trwało u niej daleko krócej niż u wszystkich sąsiadek w kamienicy.

Dlatego to Borowicka miała opinię niegospodarną, co nie przeszkadzało wcale, że mieszkanie jej pociągało czystością i porządkiem, dzieci wyglądały zdrowe, były syte i przyzwoicie ubrane, a mąż przebywał chętnie w domu, gdzie w żonie miał nie tylko gospodynię, ale prawdziwą towarzyszkę życia.

Wojna jednak dokonała przewrotu w domu Borowickich. Drożyżna wzrastająca z dnia na dzień zmuszała do coraz większych oszczędności. Ceny wszystkiego szły w górę, tylko pensja profesora pozostała ta sama... Borowicki przyjął kilka lekcji prywatnych, gościem był w domu. Wandzia zaczęła intensywnie zarabkować. Ale wszystko to było mało i mało wobec szalejącej orgii lichwiarskich cen.

Służąca trzeba było odprawić i samej wystawać godzinami w „ogonkach“. Starania o niezbędne do życia artykuły codziennej potrzeby

pochłaniały nie tylko wszystkie zarobione pieniądze, ale całą energię i cały czas.

Teatr, książka, stały się zbytkiem. O pracy społecznej nie było co myśleć, kiedy należało głowić się nad tem, jak usmarzyć kotlet na najmniejszej ilości tłuszczu, jak uprać bieliznę „wojennem“ mydłem, skąd wiać nity do pocerowania dziur, jak zdobyć i jak podzielić „karikowy“ chleb, tak aby starczyło... aby starczyło koniecznie!

W takich warunkach Borowicka męczyła się i gorzkniała.

Natura impulsywna, niezwykle żywo czująca, szarpała się w buncie beznadziejnym i wybuchała namiętną nienawiścią przeciwko tym, co tucząc swoje cielska karmą, ociekającą żywą krwią ludzką, zapominają w pogoni za żerem, że jest sumienie, że jest wstyd podłości, powinna istnieć uczciwość...

Jakób Goldbaum był jednym z takich właśnie i to może jednym z najszkodliwszych, bo posiadał dużo sprytu, a nie miał żadnych skrupułów, żadnego hamulca moralnego.

Mimowoli budziła się w Borowickiej niechęć do jego córki, chociaż wiedziała dobrze, że Rózia nie podziela zapatrywań ojca, że brzydzi się tym majątkiem, wyrosłym nagle niby grzyb jadowity, po deszczu krwi i łez...

Wiedziała o tem... nie ufała jednak... I jej jak Dowgirdowej przychodziło na myśl przysłowie: „niedaleko pada jabłko od jabłoni“. Pamiętała wprawdzie, że przysłowia nie zawsze są mądrością narodów, lecz nie mogła oprzeć się niedowierzaniu. Żyje przecież w jego domu... rozumowała — oddychała ustawicznie tą samą atmosferą nieokiełznanej chciwości, korzysta z pieniędzy ojca, stroi się, bawi, próżnuje, a moje biedne dziewczęta zapracowują się i ledwie że zjeść co mają...

To samo porównanie narzuciło się profesorowej, kiedy Goldbaumówna zapytała o Wandę... O Wandę, która w tej chwili rozdiera sobie nerwy i kaleczy uszy gamami wystukiwanymi przez łatorośle jakichś innych Goldbaumów...

— Tak, tak... — dorzuciła cierpko — teraz mogą żyć tylko paskarze, spekulanci, handlarze łańcuszkowi i jak się tamci wszyscy złodzieje nazywają... Uczciwi ludzie wegetują!

Rózia zrozumiała przycinek i zmieszała się jeszcze bardziej. Stała w przedpokoju, nie pewna, czy iść dalej i co odpowiedzieć. Zaskoczona była i boleśnie dotknięta tem niechętnem powitaniem ze strony kobiety, którą dotychczas za życzliwą sobie uważała.

Borowicka istotnie miała dla niej sympatię, a te chwilowe nieprzyjemne odruchy miały podkład raczej ogólny niż osobisty... To też żal się jej zrobiło Rózi, kiedy spostrzegła wrażenie swoich słów.

— Chodźże do pokoju — zaprosiła ją innym tonem — Wandusia niedługo przyjdzie... Możesz na nią poczekać.

Rózia zawiesiła zakiet w przedpokoju i w milczeniu weszła za panią domu do jasnego słonecznego pokoju, który u Borowickich służył do przyjmowania gości, a w niczem nie przypominał banalnych mieszczańskich saloników.

Żadnych fantazyjnych, niepraktycznych pluszowych czy atlasowych krzesełek, kozetek, kanapek... Miejsce ich zajęły wygodne głębokie skóry obijane fotele...

Podłogę zamiast obowiązkowego dywanu zaścielało linoleum o bardzo gustownym deseni.

Światło słoneczne nie przyćmione różnego rodzaju zasłonami, wdzierało się zwycięsko do pokoju i pozwalało bujnie rosnąć i rozkwitać grupom roślin, ustawionych koło okien.

Na ścianach z wesołym jasnoperłowem obiciem nie było dużo obrazów. Za to wszystkie te, które tam wisiały, miały jakąś artystyczną wartość i rozmieszczono je umiejętnie.

Nad pięknym fortepianem, wsuniętym w róg pokoju pod oknem, widniało marmurowe popiersie Szopena i kilka oprawnych fotografii sławnych muzyków. Obok fortepianu stała etażerka z czarnego drzewa, na której porządnie, starannie ułożono zeszyty nut.

Jedną ścianę zajmowała w zupełności szeroka oszklona szafa, pełna książek i odbijała się w gładkiej tafli zwierciadła na przeciwległej ścianie.

Na środku pokoju w otoczeniu foteli znajdował się stół, a na nim dwie popielniczki i kilka pism peryodycznych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)